

Moje „nie” dla lewicy

7 kwietnia 2025

W ostatnich wyborach parlamentarnych, jak osoba o lewicowych poglądach, nie głosowałem na tzw. lewicę, czyli Nową Lewicę oraz Razem. Głosowałem na Prawo i Sprawiedliwość, gdyż ta partia, obok Razem, to jedyna w Polsce partia lewicowa, tj. oparta na modelu socjalnym w opozycji do neoliberalnego, który wymaga myślenia wspólnotowego, a nie indywidualistycznego. Wszak pod hasłem „Polska solidarna, nie liberalna” PiS wygrało pierwsze wybory, o czym nie powinno zapominać, i przejęło władzę z rąk absolutnie skompromitowanej Platformy Obywatelskiej.

Wesprzyj nas

W moim uniwersytecko-inteligenckim otoczeniu mój głos zawsze budzi zdziwienie. Jak to? Głosujesz na „konserwę”? Popierasz homofobiczny język oraz zakaz aborcji do dwunastego tygodnia? Pytania te słyszałem tyle razy, i prawie nigdy bez autentycznej ciekawości, a zawsze z ledwie skrywanym pouczeniem, że postanowiłem napisać o tym, dlaczego lewicowiec głosuje na PiS.

Dlaczego nie głosowałem na lewicę?

Po pierwsze z powodu bezkrytycznego podejścia do Unii Europejskiej, co przejawia się w ogólnym podejściu, jak i w poszczególnych działaniach. Lewica nie dostrzega ekonomicznej gry interesów ze strony m.in. Niemiec, wierząc, że nasz interes narodowy jest zawsze zgodny z interesem Unii Europejskiej: realizując ten drugi, realizujemy polski. Polityka lewicowa, jeśli chce być skutecznie prowadzona, musi opierać się na silnym, sprawnym, samodzielnym i suwerennym państwie (póki co nie ma, jak sądzę, lepszego rozwiązania).

Lewica zagłosowała za kierunkiem federalizacji państw narodowych, który uważam za błędny. Lewica prawie każdą i

często trafną krytykę działań Unii Europejskiej ze strony PiS-u traktuje jako germanofobię, twierdząc, iż wróg jest na „Wschodzie”, a nie na „Zachodzie”. Oczywiście, że tak jest, nie należy jednak bezkrytycznie podchodzić do wszelkich działań Brukseli, gdyż nierzadko realizuje ona interesy najsilniejszych państw kosztem tych mniejszych lub/i słabszych. Przykładem jest niemiecka polityka prowadzona ponad naszymi głowami i naszą częścią Europy (Nord Stream).

Po drugie, co łączy się z powyższym, lewica nie rozpoznała zagrożenia ze strony Rosji, które rozpoznało Prawo i Sprawiedliwość, szczególnie w osobie prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Dopiero po wybuchu wojny w Ukrainie w 2022 roku zaczęła zmieniać swoją „pacyfistyczną” optykę, w której kwestię bezpieczeństwa nierzadko sprowadzano do bezpieczeństwa na drodze (nawiasem mówiąc, to PiS wprowadził przepisy to bezpieczeństwo polepszające), gdyż „wojny i tak nie będzie”. Ważniejsza od armii miała być budowa przedszkoli. W tym sensie PiS był dla nich, jak i dla KO, rusofobami. Rzeczywistość działań Rosji przyznała rację PiS-owi.

Trzecia kwestia to łatwowierność w liberalny przekaz medialny np. względem migracji. Niedługo po wyborach ukazał się artykuł dziennikarki „Gazety Wyborczej” Małgorzaty Tomczak, w którym wprost przyznała, że przez długi czas dziennikarze „wytwarzali fałszywą wiedzę”, czyli po prostu kłamali, w sprawie kryzysu na polsko-białoruskiej granicy. Nawet po tym, jak wprost powiedziano, że kłamano, a jest przecież oczywiste, że jest to element wojny hybrydowej, jedna z posłanek lewicy i tak nie zmieniła swojej humanitarnej optyki, która choć szlachetna (to jest właśnie wykorzystywane przez Putina i Łukaszenkę), jest po prostu niebezpieczna. Migrant na granicy polsko-białoruskiej jest bytem hybrydowym, co utrudnia podejmowanie decyzji na zasadzie albo-albo (być może nawet nie da się wypracować takiego rozwiązania, które godziłoby narrację „humanitarną” oraz narrację skupioną na bezpieczeństwie).

Po czwarte, lewicy brak jakiegokolwiek wspólnotowej narracji,

choć deklaruje solidarność społeczną etc. W wypowiedziach jej polityków przebija ledwo skrywana niechęć do patriotyzmu i przywiązania do tradycji (jakiegoś nawet minimum patriotycznego) kosztem wychwalania wszystkiego, co jakoby jest postępowe i nowoczesne, czyli „zachodnie”, a koniec końców indywidualistyczne i obejmujące głównie kwestie tzw. światopoglądowe. Trafnie tę kwestię sportretował kiedyś Remigiusz Okraska. Mam bardzo podobne obserwacje. Uważam, że narracja wspólnotowa, i poniekąd patriotyczna, rozumiana jako troska o swój kraj, jest konieczna dla jego przetrwania. Przy okazji wojny w Ukrainie widać, że część mężczyzn w wieku poborowym, za łapówki, ucieka przed obroną swojego kraju. Wystarczy przejść się ulicami Wrocławia, aby zobaczyć, ilu zdrowych Ukraińców w wieku poborowym tu mieszka). Eksperci śledzący wojnę w Ukrainie wskazują, że armia tego kraju składa się w większości z mężczyzn w wieku średnim (40 plus). Nie da się obronić kraju bez zasobów ludzkich, zdeterminowanych, aby kraju bronić. Z tego m.in. powodu (istnieje ich rzecz jasna więcej), jest bardzo prawdopodobne, że Ukraina wojnę przegra, tak jak przegra każdy kraj, którego wróg ma większe morale lub potrafi zmusić przemocą swoich obywateli do walki (tak, jak czyni to Rosja). Wojna w Ukrainie pokazuje, że kraj, który chce stawić czoło napaści, musi mieć nie tylko dobrą armię, ale i rezerwy zdolne zastąpić regularne wojsko, gdyż ono będzie ginąć. Bez powrotu obowiązkowej służby wojskowej, co jest koniecznością (analogicznie jak w Izraelu) i to w sposób równy, tj. dla mężczyzn i kobiet, zaatakowany kraj sobie nie poradzi. Byłem świadkiem wielu skrajnie negatywnych emocji, kiedy rząd jedynie zasygnalizował możliwe powołanie określonych roczników na ćwiczenia wojskowe. Jeśli nie chce się wziąć udziału w ćwiczeniach, to co będzie, gdy pojawi się realne zagrożenie? Można wyśmiewać narrację o husarii i żołnierzach wyklętych, którą PiS sprytnie odpowiedział części młodych ludzi wykluczonych ekonomicznie i kulturowo-symbolicznie, ale jest ona lepsza niż hiperindywidualizm i mówienie o Polsce per „ten kraj”.

Bywa, że pytam studentów, kto z nich broniłby Polski, gdyby została napadnięta przez Rosję. Wszyscy poza wyjątkami mówią, że wyjechaliby z kraju, gdyż nic ich z nim nie łączy, jego losy są im obojętne, „ten kraj nic dla nich nie zrobił”. Wszyscy są anty-PiS, gdyż, jak mówili, nie wyobrażają sobie głosowania na partię, która zakazuje aborcji i „prześladuje” osoby LGBTQ+ (o ile zgadzam się, że wielu polityków PiS-u używa homofobicznego języka, określenie „prześladowanie” jest zbyt mocne). Analogicznie jak u polskiego inteligenta hierarchia wartości koncentruje się wokół tych dwóch kwestii. Takie podejście, w którym słowo „Polska” czy patriotyzm nie przechodzi przez gardło, jest widowym znakiem, że – mówiąc kolokwialnie – coś poszło nie tak, gdyż stosując tę logikę, już nas, jako państwa, nie ma. Kto by nas zatem bronił? PiS-owski beton, który jest bardziej patriotyczny niż anty-PiS, w tym także ci wszyscy, którymi inteligent i spora część młodego pokolenia tak bardzo pogardza: „sebixy”, „kibole”, mężczyźni z klasy robotniczej, prekariusze, wyborcy Konfederacji (w badaniu odsetek deklarujących bronienie kraju był w tej grupie jednym z najwyższych), słowem ci wszyscy, którzy zamiast wielkomiejskiego coachingu dostali patriotyczną, oczywiście „kiczowatą” (jak łatwo pośmiać się z odzieży patriotycznej, boki zrywać) narrację o husarii i żołnierzach wyklętych.

Ponadto lewica fetyszyzuje „młodych”, którzy jakoby „skręcają w lewo” i to po nich spodziewa się najwięcej. Tymczasem „na lewo” oznacza tutaj po prostu progresywny liberalizm światopoglądowy. Nawiasem mówiąc, lewica czulszym okiem spogląda w stronę kobiet, głosząc nawet, bardzo nieinkluzywne hasło, iż „Lewica jest kobietą”. Uważam to za naiwność, gdyż po pierwsze tylko część młodego pokolenia jest progresywna światopoglądowo (co nie jest związane z byciem lewicowym w sensie socjalnym) i nie równa się stawaniu po stronie biedniejszych. Raczej wierzy się w narrację samodzielnego sukcesu, indywidualizm, wybór konsumencki jako posiadający polityczną sprawczość, troskę o siebie, a nie o innych. Solidaryzm oraz inkluzywność dotyczą raczej określonych grup

mniejszościowych, nie zagrażających interesowi ekonomicznemu, bo w przypadkach, gdy trzeba zrezygnować z części swojego dochodu na rzecz kogoś innego, postawa ta staje się coraz bardziej problematyczna. Po drugie, obserwując studentów dwóch uniwersytetów, powiedziałbym, że światopoglądowo są dużo bardziej „wypośrodkowani” niż progresywni, a wielu z nich wcale nie jest za „pisowskim rozdawnictwem”.

Ponadto istnieje spory rozdzźwięk pomiędzy mężczyznami a kobietami. W takim ujęciu lewica popełniła błąd stygmatyzując sporą część mężczyzn, którzy ex definitione jawili się jako siły wrogie kobietom. W walce płci stanęła w dużej mierze po stronie kobiet, dopiero ostatnimi czasy patrząc na mężczyzn jako podmioty podległe licznym presjom społecznym i nierzadko pokrzywdzonym w pewnych obszarach (wiek emerytalny, służba wojskowa etc.). Słowem: lewica zaniedbała mężczyzn, stąd nie jest dziwne, że kierują się w stronę tych, dla których są ważni albo tam odnajdują jakąś narrację usensowniającą świat.

Po piąte, spora część wyborców lewicy wcale nie jest lewicowa. Jest neoliberalna. Tym, co skłania ją do głosowania na lewicę, są sprawy światopoglądowe czy liberalno-progresywny sposób podejścia do mniejszości seksualnych, aborcji, niechęć do Kościoła katolickiego. To o tyle ważne, że jeśli jej wyborcy wcale nie są lewicowi, będą na partii wymuszać rozwiązania właśnie nielewicowe, zaś partia, aby istnieć, będzie robiła to, czego chcą i jacy są jej wyborcy, gdyż to od nich jest zależna. Przykładem może być podejście do pracy w niedziele wyborców lewicy: 66% jej wyborców chce przywrócenia pracy w niedziele, w odróżnieniu od wyborców PiS-u, których tylko 13% oczekuje zniesienia zakazu handlu w niedzielę. Zatem dla wyborców tej partii kwestie światopoglądowe są ważniejsze niż lepsze życie klasy robotniczej. Co więcej, politycy lewicy także nie są lewicowi, lecz neoliberalni, w tym sensie, że bronią rozwiązań klasy ludzi zamożnych, gdyż sami do niej należą. Posłowie Lewicy, jak m.in. Maciej Gduła, Krzysztof Śmiszek czy Dariusz Wieczorek, mają po kilka mieszkań, a ten

ostatni dwa domy. Są oni przeciwni wprowadzeniu podatku katastralnego, czyli wyższego podatku od więcej niż jednej nieruchomości. Nic w tym dziwnego, bronią swojego interesu klasowego. Ich pokrętną logikę znakomicie obnażył Robert Mazurek w rozmowie z Dariuszem Wieczorkiem.

□

Po szóste, znaczna część wyborców lewicy, których znam, szczególnie z kręgów uniwersyteckich, ledwie skrywa swoją niechęć, a niekiedy wręcz pogardę wobec klasy ludowej, która różni się od nich światopoglądowo (nie jest tak bardzo progresywna i „postępowa”, nawet jeśli nie jest szczególnie konserwatywna), ale także swoimi gustami („jak można lubić disco polo?”), przyzwyczajeniami, szeroko pojętym sposobem bycia.

Widać to dokładnie w książce Didiera Eribona „Powrót do Reims”, w której autor wprost i szczerze mówi o swojej niechęci do klasy, z której się wywodzi, i którą, jako że jest z natury zła, musi wyegzorcyzmować. Lewica bywa także chamofobiczna, wspierając de facto postrzeganie klasy ludowej przez liberałów jako cywilizacyjny przeżytek, który trzeba „wyedukować”, aby przestała być tym, kim jest, gdyż w takiej postaci stanowi zakałę nowoczesnego świata i blokuje światopoglądowy postęp. Jej zwyczaje, obserwowane zawsze z inteligenckim dystansem, należy wyśmiać, ukazując w krzywym zwierciadle.

Jednym z ciekawszych artykułów na temat błędów i niezrozumienia prowincji jako głównego terenu życia klasy ludowej jest tekst Arkadiusza Bednarczuka „Źródła niechęci lewicy wobec aktywizmu grup lokalnych” („Zeszyty Wiejskie” 2023, t. 29). Autor dowodzi w nim, że lewicowa krytyka lokalnego aktywizmu opiera się na schematach zaczerpniętych z dyskursu modernizacyjnego i często ujawnia klasizm wobec uboższych warstw społeczeństwa. Co więcej, twierdzi autor, lewicowa krytyka lokalnego aktywizmu często powtarza schematy

wartościujące, które zostały wykorzystane w trakcie transformacji systemowej w latach 90. XX w., służąc wówczas jako ideologiczne usprawiedliwienie wyzysku i przewagi klasy średniej. Wszystko to sprawia, że lewicowa krytyka aktywizmu lokalnego jest de facto krytyką klasową, prowadzoną w interesie klasy średniej, co wiąże się ze zmianą tradycyjnego lewicowego dyskursu i przeorientowaniem go na problemy kulturowe, a także z politycznym zagospodarowaniem wielkomiejskiej klasy średniej. Radykalizacja żądań w odniesieniu do sfery kultury w celu politycznego pozyskania klasy średniej sprawia, że z perspektywy społeczności lokalnych dyskurs lewicowy traci swoją wiarygodność jako siła zdolna do zmiany systemowej i ograniczenia ubóstwa.

Po siódme, przeszkadza mi „zakochanie się” lewicy w Donaldzie Tusku. Oglądając wiele programów publicystycznych, w których brali udział przedstawiciele lewicy, nie słyszałem ani jednej wyraźnej krytyki neoliberalnych rządów tego polityka, jak i wielu błędów związanych z jego polityką „resetu” z Rosją, czyli koniec końców uczynieniem Polski krajem słabym i zależnym od silniejszych sąsiadów, czego konsekwencje zawsze ponoszą najbiedniejsi (zarówno w czasie pokoju, jak i w czasie wojny, co widać na Ukrainie). Często „sceniczną”, powtarzaną argumentacją, jest sformułowanie, że to już historia, którą nie należy się zajmować; „zakulisowo” zaś można usłyszeć, że „Tusk się zmienił”. Uważam to za absolutną naiwność, bo niby dlaczego miałyby się zmienić? Zmienić swój neoliberalny i proniemiecki kurs polityczny, jeśli wygrywa wybory i potrafi stworzyć rząd z partią, która w programie ma lewicowe postulaty, lecz prawdopodobnie nie zrealizuje większości z nich? Po co było krytykować neoliberalny kapitalizm, jeśli teraz popiera się polityka, który prowadził i dalej będzie prowadził taką samą politykę?

Ponadto lewica weszła w sojusz z politykami, którzy ewidentnie dokonują czynów nielegalnych i niepraworządnych. Mam na myśli Joannę Scheuring-Wielgus, która jest zastępczynią ministra

Sienkiewicza i sankcjonuje jego działania. Dokonał on siłowego przejęcia Telewizji Polskiej oraz wyłączył nadawanie TVP Info, co spotkało się z krytyką Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Co ciekawe, był z tą Fundacją związany Adam Bodnar, minister sprawiedliwości, który jednak teraz „ma pełne zaufanie do pana ministra”, a zdanie Fundacji mało go interesuje. Osiem lat opozycja krzyczała: „konstytucja”, „praworządność”, a pierwszym, co robi po wyborach, jest jej łamanie, w czym nie widzi niczego złego, gdyż jest to stan „wyższej konieczności”, jak powiedział minister Sienkiewicz. Chodzi o to, jakoby mowa nienawiści względem Pawła Adamowicz leżąca się z TVP Info była odpowiedzialna za jego śmierć. Jest to tłumaczenie, na które może się nabrać tylko wyborca partii (rzetelna analiza faktów niczego takiego nie potwierdza), nie mówiąc już o tym, że nawet sąd wydając wyrok na mordercy prezydenta Gdańska, wskazał, że nie można mówić o politycznej inspiracji mordercy. Tutaj warto przypomnieć słowa posła Macieja Koniecznego w jednym z programów publicystycznych, który powiedział, że nie podobają mu się takie działania względem TVP. Konieczny dodał jednak, że jest to tylko jego prywatna opinia. To potwierdza moją obserwację, że sprawczość partii Razem równa się zero. Cieszę się, że opuścili szeregi Nowej Lewicy, ale nie ma to w obecnej chwili, po pierwsze, żadnego znaczenia, po drugie, faktem jest, że dali obecnemu rządowi votum zaufania, co jest dla mnie niewybaczalne. Poza tym jej wyborcy rozpoznawali w moim polu cyfrowej widzialności za błąd niewejście do rządu oraz są za wyrzuceniem z partii Pauliny Matysiak.

Podsumowując: ze względu na błędne, podstawowe koordynaty rzeczywistości, nietrafne oznaczenie punktów orientacyjnych i rozpoznania terytorium społecznego nie ufam Lewicy, gdyż de facto realizuje plan polityków neoliberalnych, w dodatku w nadbudowie, w gruncie rzeczy, konserwatywnych. Z powyższych względów byłem sceptyczny wobec działań Lewicy. Używając słowa „błędne”, ma myśli fakt, że lewicowa narracja przegrywa w zderzeniu ze społeczną rzeczywistością działań innych aktorów i tworzonych przez nich obrazów i konstrukcji: Rosja okazała

się śmiertelnym zagrożeniem.

Czarę goryczy przełała jedna wypowiedź, która padła w debacie wyborczej w TVP Info, gdzie Lewicę reprezentowała Joanna Scheuring-Wielgus, która wcześniej należała do ultraneoliberalnej partii Nowoczesna. Akceptując fakt, iż można zmienić zdanie, chciałbym odnotować jedną jej wypowiedź, która moim zdaniem pokazała, że nowe barwy lewicowości nie zmieniają jej myślenia o klasach społecznych, szerzej – ich istnieniu. Padła ona przy okazji pytania o migrację: „Każdy z nas kiedyś chciał wyjechać do innego kraju po lepsze życie. Ja sama wyjeżdżałam, jak byłam studentką, do Londynu, i pracowałam na zmywaku. I tak samo przyjeżdżają do nas ludzie za chlebem i lepszą pracą”. Otóż pracowałem zaraz po studiach rok w Irlandii (wcześniej, pomiędzy czwartym a piątym rokiem studiów, trzy miesiące jako student). Pracowałem przy rozładunku tirów, w hotelu, take away’u, sklepie Centra (coś jak nasza Żabka), aby ostatecznie trafić do firm archeologicznych. Mieszkałem w kilku miejscach w Carlow, zawsze jednak z chłopakami z klasy ludowej kilka lat starszymi ode mnie: z małych miejscowości, robotnikami, bez wyższego wykształcenia. Nikt z nich nie chciał jechać po lepsze życie, jak widzi to posłanka Lewicy, lecz został do tego przymuszony sytuacją ekonomiczną w Polsce, do której doprowadziły rządy neoliberalnej Platformy Obywatelskiej (pamiętam wypowiedzi polityków tej partii, że jak komuś jest tutaj źle, to są otwarte granice). To nie był ich wybór, bo nikt z nich nie chciał zostawiać swojego świata (żon, dzieci, rodzin, przyjaciół itp.) i jechać do innego. Dla nich to nie była wakacyjna wyprawa studentki czy wielokulturowa przygoda, lecz niełatwa konieczność i perspektywa pozostania tam na lata. Nie ma zatem tego „my”, o którym ona mówi – w tym sensie jej podejście jest nielewicowe, albowiem znikają u niej klasy oraz ich sytuacje ekonomiczne i egzystencjalne, a tak myśli neoliberal. Mówiąc krótko: chodzi o to, żeby nie było konieczności wyjazdu, trzeba zatem budować dobrobyt u siebie, aby nie musieć wyjeżdżać. Posłanka Lewicy przedstawiła tego

rodzaju wyjazd jako bezproblemową oraz indywidualną decyzję o poszukiwaniu lepszego życia, podczas gdy „warunki lepszego życia” nie są w ogóle opisane.

Nawiasem mówiąc, ci młodzi mężczyźni (dzisiaj powiedzielibyśmy „przegrywy”), z jakimiś piętnem porażki, które zawsze towarzyszy emigrantom, w Irlandii świetnie się odnaleźli pomimo słabej znajomości angielskiego. Potrafili naprawiać samochody, sprzedawać je, zorganizować sobie domowe siłownie. Czuąc, że godnie zarabiają, odkładali pieniądze, bo zaczynało mieć to sens. Byli oszczędni, świetnie gotowali, byli w najwyższym stopniu zaradni. Okazywali się zatem, w sprzyjających warunkach ekonomicznych, dobrymi pracownikami, osobami, które potrafiły zaadaptować się do nowych warunków, jeśli jakieś państwo, tak jak Irlandia, dawało im szansę, której w neoliberalnej Polsce nie mieli.

Można teraz zapytać, czy był to dobry wybór. „Nie” powiedziałbym lewicy także po raz drugi.

Dlaczego?

Po pierwsze wchodząc do koalicji z neoliberalami i umiarkowanymi konserwatystami, czyli ludźmi od siebie biegunowo odległymi, poparli rząd, który wyzyskiwał, wyzyskuje i będzie wyzyskiwał sporą część Polaków, doprowadzał do większego bezrobocia, zwolnień, biedy, obniżenia jakości życia i zdrowia. Neoliberal nie potrafi po prostu nic innego i wie o tym każdy, kto pamięta pierwsze rządy obecnego premiera. Niczego innego nie potrafi także Nowa Lewica. Przedstawiciele Nowej Lewicy potrafili nawet dobijać coś, co i tak od dekad jest niszczone, czyli polską naukę. Dostając tak mało znaczące ministerstwo mogli się wykazać. Minister Dariusz Wiczorek oraz Maciej Gdula wykazali się „znakomicie”...

Ta pseudo-lewica powinna już zostać raz na zawsze wchłonięta przez PO i zniknąć ze sceny politycznej. Czas już na nową, inną lewicę, gdyż obecna stanowić może coś na zasadzie

„lewego” skrzydła postpolitycznej PO, która potrafi tylko niszczyć przy wsparciu, jawnym bądź milczącym, Nowej Lewicy.

Autorstwo: dr Michał Rydlewski

Źródło: NowyObywatel.pl

Nota redakcyjna

Powyższy tekst to zmieniona wersja artykułu, który wcześniej ukazał się w piśmie „Dyskurs i Dialog”.